Rok VIII. Lwów, Niedziela dnia 13. Lutego 1881 r. Tom XII.

TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 7.

PRENUMERATA we LWOWIE
Tydzień . . . . . . kwartalnie 2 zł.
— z dodatkiem powieściowym „ 2 „ 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
Tydzień . . . . . . kwartalnie 2 zł. 50 ct.
— z dodatkiem powieściowym „ 3 zł.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
plac Halicki L. 14.
Godziny redakcyjne od 9—11 rano.

PRENUMERATA w W. Ks. POZNAŃSKIEM
Tydzień . . . . . . kwartalnie 6. m.
— z dodatkiem powieściowym . „ 7. „
PRENUMERATA we FRANCJI, ANGLJI, AMERYCE i t. d.
Tydzień . . . . . . kwartalnie 7 frank.
— z dodatkiem powieściowym „ 8 „

DUMCIO MÓJ SĄSIAD.

POWIEŚĆ OBYCZAJOWA

przez

SEWERA.

(Ciąg dalszy)

IV.

Dumcio odjechał a mnie jakoś dziwnie się smutno i ciężko na sercu zrobiło. Tęskniłem za lepszym światem i innymi ludźmi. — Myślałem troszkę o Fruzi, więcej o Wronowie. — Żal mi było Fruzi, a smutno bez Wronowa. Już się przyzwyczaiłem niedziele tam spędzać. Samotność mi dokuczała, czegoś brakowało — uczuwałem wstręt do samego siebie.

Wziąłem do ręki książkę chcąc się koniecznie rozerwać — naprożno! Zacząłem grać, lecz muzyka jeszcze mnie więcej denerwowała. Pochwyciłem kapelusz, laskę — wybiegłem w pole aby się zmęczyć i rozdrażnione nerwy przytępić.

Mimowolnie zaszedłem pod sam Wronów, lecz spiesznie uciekłem bojąc się, aby mnie nie zobaczono i nie doniesiono o tem do dworu.

Powróciwszy do siebie rzuciłem się na łóżko, lecz niestety sen nie przychodził.

Po północy wróciła Rzepecka. Poznałem ją po głosie, gdyż zsiadając z bryczki nuciła sobie:

»Z kasteletem w ręku i zapałem w oku.«

Rozśmieszył mnie śpiew gospodyni — przewróciłem się na drugi bok i zasnąłem.

Dobrze nad ranem, raptownie i hałaśliwie otworzono drzwi — przecieram oczy — przedemną stała, cała ponsowa a trzęsąca się z gniewu Rzepecka.

— Spiżarnia zrujnowana, okradziona— wołała.

— Precz! — krzyknąłem na całe gardło.

— Zamki pan odbijasz.

— Precz! — jeszcze głośniej zawołałem z zamiarem wyskoczenia z łóżka.

Widocznie Rzepecka przestraszyła się więcej mego negliżu niż gniewu, bo zalała się łzami odpowiadając:

— Nie umiesz pan nawet uszanować świętego stanu wdowy — i wyszła trzaskając drzwiami.

Uszczęśliwiony emigracją wdowy, odwróciłem się do ściany i zasnąłem — aż póki mnie Józef nie obudził.

— Wielmożny panie! Rzepecka już spakowana, prosi o konie do Pruchnowa. Herbata wystygnie.

— Gdzie fornalki? — spytałem.

— W polu.

— Niech Walek założy do wózka cugowe. Zaraz wypłacę należność.

Józef poszedł, zerwałem się — a otworzywszy biurko, sporządziłem rachunek.

Klasnąłem, wbiegł Józef.

— Rachunek i pieniądze zanieś Rzepeckiej.

— Okrutnie płacze — mówił Józef— a przysunąwszy się do mnie bliżej szeptał:— Wczoraj wróciła pijana, wciąż śpiewała o kastylecie, bo podobno to samo miał śpiewać Iwański gorzelany. Ten stary czerwony, wielmożny pan go pewnie zna. Myśli, że baba ma pieniądze i dla tego jej przygrywa na gitarze i znosi piwo do ekonomów pruchnowskich.

— Rachunek i pieniądze odnieść — niech Walek natychmiast zajeżdża — klucze odbierz i niech jej nie widzę na oczy. Nie puszczaj jej tu. A gdyby nie chciała jechać, wsadzić na wózek i wywieźć.

Uradowany Józef wybiegł z pokoju.

Poszedłem na herbatę, a bojąc się swej słabości drzwi pozamykałem na klucz.

Nareszcie odetchnąłem całą piersią, uwolniony jakby z więzienia. Po prostu byłem maltretowany — w własnym domu— niewolnikiem.

Zajechała bryczka — ukryty za firanką widziałem jak Rzepecka z gwałtownością rzucała swoje torby — Józef jej pomagał — jak łzy otarła — jak z impetem wsiadła do bryczki — jak dworowi a później oficynie, w której mieszkała ekonomowa, długo groziła — jak Walek zawołał na konie — ruszył i odjechał.

Skończyło się! — wyszedłem uśmiechnięty — i wszystko się do mnie uśmiechało. — Tryumfowałem wraz z całą służbą — i wspólne w duchu obchodziliśmy święto.

Józef mi mówił, że we Wronowie siedzi na trzech morgach we własnej chacie Straszyńska, wdowa po kucharzu wronowskim, cicha i potulna kobiecina — a dobra gospodyni. Posłałem po Straszyńską i w parę godzin po wyjeździe Rzepeckiej— objęła władzę przypominając mi ciszą i spokojem rządów — Wronów.

Zacząłem w domu pracować — pisać, grać, gospodarować — a nawet budować spoglądając czasami na wronowski dwór pokryty czerwoną blachą a bielejący ścianami na wzgórzu.

Tymczasem Rzepecka się mściła — i z tego powodu już się rozniosło po okolicy, żem dostał odkosza od panny Izy. Mówił mi o tem z pewnem niedowierzaniem *mój* żyd, jak go Dumcio nazwał — wybadując ostrożnie.

Odparłem z uśmiechem żem istotnie dostał odkosza.

Żyd podejrzliwie kręcił głową.

Niezawodnie skutkiem głoszonych plotek zajechała przed ganek silnie zbudowana

najdyczanka, a z niej stoczył się papa Trybulski.

— A cóżto za ceregiele — wołał na ganku — z sąsiadami — żeby mnie starego trząść całą milę po grudzie? I żeby nie kobiety moje co mi gwałtem kazały jechać — anibym się ruszył. Ale cóż — dzisiejsza młodzież z temi wymysłami, rewizytami, nic nie uszanuje — ani nawet spracowanych kości. — I znowu po daniu sobie z dubeltówki buzi — nastąpiły wzajemne wypytywania w kwestji zdrowia dam i powodzenia w gospodarstwie.

— Fruzia jakoś mi niedomaga — rzekł papa — straciła apetyt — matka utrzymuje że i sen — a nawet coraz mniej mówi o tym swoim komforcie. Ale — ale, kobiety moje kazały cię przeprosić za Dumcia — ktoźby się tam na niego i gniewał? Słyszałem, że był w niedzielę przepraszać cię. Podobno i Kaczkiewicz chciał cię obrazić. — Co do tego nie urósł ci on do pięt.

Szanowny sąsiad, wyjął fularową, żółtą chustkę — zaczął nią pot ocierać i chłodzić się.

— Rzepeckiej się pozbyłeś — i dobrześ zrobił, bo to z piekła rodem baba.— Podobno już i we Wronowie nie bywasz— i lepiej. — Co ci z tych tonów przyjdzie, sameś się przekonał, że nie ma tam co robić. My poczciwa szlachta trzymajmy się za ręce, a od półpanków zdaleka, jak od ognia. Wycisną jak cytrynę — a skórkę wyrzucą.

Chciałem zaprotestować, żem nie był we Wronowie wyciskany jak cytryna, gdy wtem zatętniało i zatoczył się elegancki powozik. — Sąsiad pospieszył do okna.

— Wronów, jak mi Bóg miły — zarumienił się, chustką fularową otrzepał kurz z obuwia — wydobył z kieszeni szczotkę i stanąwszy przed lustrem gładził sobie włosy, poprawiał kołnierzyki, krawat — lustrował ubranie, gotując się jak żołnierz przed mustrą do przyjęcia półpanka wyciskającego rozum szlachecki jako cytrynę.

Pan Samuel uśmiechnięty, ubrany podług ostatniej mody, ze wstążeczką orderu papieskiego zatkniętą w dziurce od surduta, wyskoczył z elegancją i podając mi rękę — rzekł wesoło:

— Ponieważ góra nie miała ochoty przez całe cztery dni ani razu odwiedzić Mahometa — Mahomet jest tu. Przyjechałem tylko po to, aby zabrać pana.

Weszliśmy do salonu. Ojciec Fruzi siedział w pozie dramatycznej, a w odpornej pozycji na fotelu, aby strzedz swej godności wobec półpanka.

— Pan Trybulski — pan Samuel Wronowski — zarekomendowałem.

Pan Trybulski, spojrzał się na mnie, czułem, że obrażony pewnie za to, że naprzód nie rekomendowałem pana Samuela; wahał się czy ma wstać, czy też siedzący przyjąć półpanka, którego posądzał o chęć upokorzenia szlacheckiej jego godności.

Pan Samuel przerwał tę niemą walkę.

— Sądzę — mówił — że prezentacja zbyteczna, znamy się przecie z wyborów do towarzystwa kredytowego w Kielcach. I wtedy to, miałem już zaszczyt prezentować się panu.

Pan Trybulski powstał wyciągając swą dłoń.

— Prawda, prawda panie dobrodzieju — mówił ocierając się z lekka fularem.

— Jakże się ma pani dobrodziejka?

— O, o, dziękuję.

— O córki nie pytam, bo ztąd — pokazał na mnie, miewamy częste relacje — jak szanowny sąsiad się domyślasz są one one dokładne i serdeczne.

Pan Trybulski zmięszany grzecznością półpanka, nie wiedząc co odpowiedzieć podał mi rękę, którą ścisnąłem. Usta pana Samuela układały się do uśmiechu, lecz je zmroził powagą.

Rozmowa szczęśliwie wpadła na tor rolnictwa, zasiewów, urodzajów, staczając się powoli do polityki i przyszłych kieleckich wyborów. Pan Trybulski mówił i dużo mówił. Chwalił się obfitością zbiorów, w polityce dziwił się rozumowi Bismarka nazywając go bestją — a w kwestji wyborów rozbrojony uprzejmością półpanka — zaproponował mu kandydaturę.

— Za ten zaszczyt dziękuję — odparł pan Samuel. — Każecie nam pracować, wysługiwać się braciom szlachcie, a potem o nas zapominacie. Słowem obchodzicie się jak z wyciśniętą cytryną.

Pan Trybulski poczerwieniał i spojrzał na mnie.

— Dziwny zbieg okoliczności — rzekłem prędko — gdyż szanowny sąsiad przed chwilą posądzał was panowie, że nas szlachtę podobnie jak cytryny traktujecie.

— A to w jaki sposób? — zawołał pan Samuel i zaczął się śmiać.

Śmiał się również basem i pan Trybulski. — Przyniesiono wino i owoce. — Wypiliśmy naprzod zdrowie szanownego sąsiada Próchnowskiego, potem Wronowskiego, pan Trybulski wniósł gospodarskie, zapaliliśmy cygara, domyślny Józef rozłożył stolik, przygotował karty — i szczęśliwie zasiedliśmy do partji preferansa z kontrą, rekontrą i kotłem. Pan Trybulski ustanowił cenę.

Podano kolację. — Sąsiedzi zwarli się przy drzwiach zapraszając się wzajemnie. Józef nauczony jak się ma zachować w takich razach, otworzył drugą połowę drzwi i weszli razem.

Znając epikureizm pana Samuela i apetyt Trybulskiego — wystąpiłem! Pan Trybulski patrzał ciekawie na srebrną zastawę odziedziczoną po ś. p. mej matce, — patrzał i uśmiechał się. Przypuszczam że pomyślał sobie:

— Nie będę się ekspensował na srebra dla Fruzi.— Straszyńska wysadziła się. Kolacja była podobną do kolacji Wronowskiej — ozdobiona lodami. — Zdawało mi się, że pan Trybulski wytrzeszczał oczy, z czego byłem troszkę dumny.

Widocznie pan Samuel wyczekiwał odjazdu gościa, lecz z Trybulskim po obejrzeniu mych sreber, ciężka była sprawa. Powozik zajechał, należało się pożegnać i odjechać.

— Dobrze, że się szanujesz — rzekł do mnie pan Trybulski — jakby w połowie do przyszłego zięcia — z panami nie można inaczej. Ale Bogiem a prawdą, jest grzeczny — bardzo grzeczny, a jaki naturalny. Umie się znaleźć, uszanować zasługi i wiek — nie tak jak wy młodzi.— Podobał mi się, bardzo mi się podobał i basta. Już to zaraz poznać pana z panów. Jak uważasz, złożyć mu wizytę?

— Tak przynajmniej wypada — odparłem.

— Może zawieść żonę i córki — co?

— Przecież jesteście państwo sąsiedzi.

— Żona moja umie się znaleźć. Gienia nauczyłaby arystokracji Izę — nieprawdaż?

— Prawda.

— A Fruzia? cóż powiesz o Fruzi? — mówiąc to wpatrywał się w me oczy.

Mimowolnie zarumieniłem się.

— A widzisz! — i rzucił mi się w objęcia, przyciskając do szerokich ramion.

— Z panami grzecznie, ładnie, składnie ale zdaleka, to moja zasada, bo wtedy szanują człowieka — inaczej... dokończył ruchem zdradzającym chęć wyciśnięcia cytryny. Pożegnaliśmy się. — Pan Trybulski ciężko ale jakoś wesoło wdrapał się na bryczkę.

— Przecież długo na ciebie czekać nie będziemy — zakończył — wtedy Bartek batem śmignął i odjechał. Zły byłem na mój rumieniec i ciekawość Trybulskiego. Cóż robić w majowy wieczór, gdy księżyc świeci, a muzyka wiosny pociąga do siebie? Poszedłem błądzić po ogrodzie, marzyć, a więcej napawać się zapachem lilii i własną dumą.

Ni z tego, ni z owego jak gdy się łyśnie na pogodnem niebie — coś mi szepnęło: — Jutro sobota, wizyta u Dumcia, wyprawa w Opoczyńskie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

SZEKSPIROWSKA HISTORJA TRAGICZNA

O KSIĘCIU DUŃSKIM HAMLECIE

napisał

Włodzimierz Spasowicz.

I.

W prześlicznem swojem dziele o Słowackim Antoni Małecki podaje nam mniej więcej taką charakterystykę poety: Juliusz miał poetyczne na świat spojrzenie, zdolność dostrzegania i pochwycenia wszystkich tęczowych barw piękna, rozlanego po rozłogach rzeczywistości. To określenie jest krótkie, ale trąci na całą milę tak okrzyczaną dzisiaj metafizyką. Czy istnieje rzecz zwana pięknem, poza nami — tego nie wiemy i nigdy nie docieczemy. Dla nas piękno nie może być istotą odrębną, nie jest nawet słońcem, dającem rzeczom pewne oświetlenie, nie jest ono czemś rozlanem po rzeczywistości i zbieranem w czarę przez poetów. Poezja siedzi w duszy („O, tęczowa kopuło myśli, tyś moim kościołem". *Beniowski)* w tej tajemniczej pracowni, zkąd się wysnuwają z wrażeń pasma wyobrażeń i pojęć, tych, zaprzątających naszą świadomość, przy napięciu uwagi,

przedmiotów zmysłowo-umysłowych, bo mających formę i kształty, ktore je czynią ujętnemi dla myśli, a treść metafizyczną, domniemaną, przypuszczalną, stojącą poza obrębem poznania. Zmysł estetyczny, uczucie, ktòre nazywamy poezyą, tak w swem pierwotnem źródle, jak w swem wyrobieniu, które nosi miano sztuki, ma za przedmiot stronę jedynie zewnętrzną, zmysłową, objawów naszej umysłowości, nie wychodzącą poza zaklęte koło form i kształtów, nie sięgającą do treści, ale obejmującą formy i kształty wszystkiego, co tylko istnieje i co pomyślanem być może, przedmiotów natury społecznej, ludzi charakterów, urządzeń towarzyskich, nawet myśli i uczuć najosobistszych i najbardziej oderwanych. Rzecz może nas całkiem nie interesować, może być wcale dla nas nieprzydatną i niedającą się wyzyskać do zaspokojenia potrzeb naszych, a jednak oddziaływa na nas przez samą tylko formę swoją przyjemnie czy nieprzyjemnie, co wyrażamy słowami: pięknie albo niepięknie. Są to cechy nie przedmiotu i nie stosunku przedmiotu do naszej osoby, ale wrażenia, które przedmiot wywarł, a zatem mogą być nieskończenie u oddzielnych jednostek rozmaite *(de gustibus non disputandum.)* Nauka pracuje nad wytłómaczeniem, w jaki sposób forma wiąże się z wrażeniem i wywołuje te a nie inne wrażenia estetyczne; ale do wynalezienia tych fizyologicznych podstaw estetyki jeszcze bardzo daleko.

Rozkosz, której dostarcza lubowanie się w pięknych formach, jest tak wielką, potrzeba lubowania się tak niezbędną, że ztąd powstaje w człowieku pochop do zrobienia się czynnym sprawcą takich uciech estetycznych. Człowiek więc tworzy przedmioty, któreby swoim kształtem, oddanym za pośrednictwem rylca, dłuta, pędzla, dźwięku muzycznego albo słowa, sprawiały co najsilniejsze wrażenie estetyczne, były złożone z pożyczek od natury i z ideału; były podobne do rzeczywistości, a mocniej poruszały uczucie, niż sama rzeczywistość.

Tak powstały i rozmnożyły się arcydzieła sztuki, tak się ugruntowało wielkie, niewidzialne a przeto nieraz tajemnicze sztuki nad ludźmi panowanie. Myśl sama przez się jasna i chłodna jak słońce zimowe nikogo nie poruszy, zanim nie zostanie potężnie odczutą. Jeszcze Konrad w „Dziadach“ powiedział, że trzeba wpędzić uczucie jak nabój w żelazne okucie woli, ażeby otrzymać burzący wystrzał.

Zahartowane przez poezyę uczucie trzeba nieraz jak stal odhartowywać, by dać życiu inny kierunek wedle zmiennego składu potrzeb i okoliczności. Ztąd niesamoistność sztuki, jej panowanie zawsze podzielone z innemi potęgami, co chwila kwestjonowane, ztąd ostre o niej sądy, ztąd ustawiczna dbałość o jej dobre albo złe kierunki, ztąd wypędzenie poetów przez Platona z jego idealnej Rzeczypospolitej, ztąd powtarzające się naigrawania się materjalizmu, że para butów lepsza niż piękny ale niepożyteczny poemat, ztąd piękne określenie poezji przez Krasińskiego w „Nieboskiej Komedji.“ Poezja sama przez się nie jest ni dobra, ni zła, ni moralna, ni niemoralna, podawać może jednak czasem zbawienie a czasem truciznę. Kiedy się zachwiała wyższa od niej mistrzyni wiara, sztuka jeszcze w stanie jest jej podania podtrzymać, ożywić; może głęboko podupadły naród prowadzić niby ognisty słup na puszczy, wlewając pewność, że gdzie taki ogień błyszczy, tam jeszcze nie mogiła; ale może być towarzyszką zepsucia, podłechtaniem niecnych chuci, powolną sługą złych namiętności i poduszczeń, powojem albo nawet chwastem na ruinach.

Bywa więc sztuka dobra i zła, a oprócz tego podziału podałbym jeszcze drugi: na sztukę ubogą i bogatą.

Wszelka sztuka poczyna się od prostego naśladowania natury, naśladowaniem się utrzymuje i rośnie pod karą natychmiastowego zdziczenia, jak zdziczała sztuka rzymska w bizantyjskiej. Studya z natury są jej chlebem powszednim. Nie ma sztuki bez bystrego rozpatrywania natury, bo każden wielki mistrz jest zarazem realistą. Lecz prócz natury, sztuka potrzebuje jeszcze ideałów, a ideał nie wciąż kwitnie, lecz tylko w długich przerwach, odpowiednich wielkim zwrotom umysłowości ludzkich, pojawieniu się nowego zapatrywania się na świat i życie. Przy najbardziej nawet udoskonalonej technice, skoro sztuka z nałogu nie przestaje powtarzać i uwydatniać, zmieniając tylko kształty, jedne i te same cechy, przez podanie uważane za piękne, ale już używane i wiadome, sztuka takowa mimo uczoności, zapożyczania się i archaizmu upada przez wycieńczenie sił, choruje na suchoty i doczekać się musi swojej upadłości. Wtedy nadchodzi tak zwany naturalizm i ogłasza detronizacyą wszelkiego ideału, twierdząc, że prawda naga, chociażby brudna, pospolita i plaska tysiąckroć razy jest lepsza od sposobów wytartych i zużytych, trącących rutyną, obrachowanych na efekt, od form poza któremi sterczą jak druty jawne artystyczne zamiary fachowego rzemieślnika. Pora obecna jest mniej więcej epoką takiego dochodzenia upadłości, takiej detronizacyi i uprzątania wszelkiego ideału. W gruncie — to rokosz tylko chwilowy, bezkrólewie na kilka dni, a co najwięcej zmiana dynasty albo dynastyi *(le roi est mort, vive le roi).* Gdyby kto zwątpił w przyszłość ideału śród tego dzisiejszego krzątania się liliputów i gnomów na placu pustym, wywłaszczanym przez nich u podupadłej albo zgrzybiałej sztuki, dość mu, ażeby się otrząsnąć z takiego zwątpienia, dość cofnąć się myślą wstecz ku pierwszemu lepszemu z poprzedzających okresowi rozkwitu sztuki, wielkiej i bogatej i spojrzeć oko w oko na takiego Dantego albo Szekspira, Michała Anioła albo Homera, wpatrzyć się w ich nieśmiertelne, młode, wiekom urągające utwory ażeby przyjść do tego pocieszającego rezultatu, że jeżeli umysł ludzki nie skaleczał, jeżeli ród ludzki nie znikczemniał, jeżeli jest możność jakiegokolwiek doskonalenia się postępu, jeżeli jest jeszcze w duszy jakiekolwiek miejsce dla sztuki i rozkoszowania się pięknością; — ideał wróci do posiadania odnowiony i wyższy i sztuka będzie, jak być powinna, twórczą, potężną, tworzącą rzeczy doskonalsze od natury i rzeczywistości pod względem zgodności z prawami, któremi rządzi się świat, jeżeli ich dochodzić będziemy, uprzątnąwszy myślą przypadkowość, to jest pod względem tego, co nazywamy prawdą artystyczną.

W wielkiej sztuce sprawdza się to, co z doświadczenia powiada w przedmowie do Balladyny Słowacki: *szepcze (ona artyście) nigdy wprzód niesłyszane wyrazy, a oczom pokazuje nigdy we śnie nawet nie widziane istoty, otacza go ciżbą gwarzącą ludzi wyszłych ze mgły przedstworzenia, a urąga się z tłumu ludzkiego, z ładu i porządku, jakim wszystko dzieje się na świecie, z nieprzewidzianych owoców, które wydają drzewa ręką ludzi szczepione.*

Żadna galerya portretów, gdyby można było obejrzeć cały wiek XVI sportretowany, nie da takiego wyobrażenia o duchu tego wieku, o jego najzuchwalszych nadziejach i aspiracyach jak Mojżesz, Penseroso, albo Sybille i prorocy Michała Anioła i całkiem nieznającemu się na odrodzeniu człowiekowi, gdy patrzy na tych nadnaturalnych olbrzymów, uprzytomnią się jego własne chwile niejasnych przeczuć i wdzierania się w to niewiadome i niepoznawalne, w obec którego niczem jest każda rzeczywistość. Żadnego człowieka, z którym całeśmy życie obcowali, śledząc co chwila jego myśli, charakter i nałogi, nie znamy tak dobrze i dokładnie, tak całkiem na wskróś, jak wymyślonych i tych, co nigdy nie istnieli: Makbeta albo Jaga, Leara albo Otella. Ludzie Szekspira, powiada Goethe w „Wilhelmie Meistre,“ *zdają się naturalni a nimi nie są. Te tajemnicze i skomplikowane osoby z natury są jak idące zegary ze ściankami i cyferblatem z kryształu, pokazują bieg godzin, ale widzisz zarazem skład kół i sprężyn, nadających im ruch.*

Ta nadnaturalność arcydzieł sztuki, ta ich właściwość, że z kształtów wyziera bezdenny i nigdy niezgruntowany ostatecznie ideał, czyni je niewyczerpalnemi nigdy do ostatka; setki pokoleń mogły w nich grzebać, a jeszcze i tysiącznemu dostanie się czem się obłowić na jego zajęcia i potrzeby. Ta ich nadnaturalność sprawia, że arcydzieła i wzory sztuki są spółrzędne względem żywej natury jako przedmioty badania dla artysty, że zajmują jednakie miejsce w artystycznej wiedzy, bez której żaden wyższy ideał nie zabłyśnie i że nieustanne a systematyczne studyowanie wielkich mistrzów, byle bez bałwochwalstwa, jeno krytyczne, pojedyńczemi siłami albo zbiorowo za pośrednictwem całych towarzystw, jest rzeczą prawie niezbędną dla każdej literatury i dla każdej sztuki, pod karą obniżenia się pod poziom ogólnej cywilizacyi europejskiej. Takie zaciekanie się w wielkich dziełach wielkich mistrzów jest bardzo trudne, ale niesłychanie ponętne, tak ponętne jak wdarcie się na jednę z najwyższych iglic górskich na kuli ziemskiej w nadziei jeżeli nie odkrycia, czego oko ludzkie nie widziało, to stworzenia sobie chociażby w ślad za innemi, którzy tam byli, niesłychanie rozległych widoków.

Te względy niech mi posłużą do wytłómaczenia śmiałości, z którą, nie bez wewnętrznej obawy, odważam się mówić o Szekspirze, i jeszcze większej śmiałości w wyborze z pomiędzy dzieł Szekspirowskich, Hamleta, którego każdy wiersz jest doskonale znajomy, a o którym pisano tyle, że z samych komentarzy, począwszy od krytyki Goethego w „Wilhelmie Meistrze,“ pisanej prawie przed stu laty, możnaby złożyć bardzo sporą bibljotekę, ale o którym najgłębsi jego wykładacze, jak Dowden, mówią jak o niezupełnie dociekczonej tajemnicy.

Nie będziemy się zaprzątali czczem pytaniem, czy Szekspir jest najwyższym z poetów, których świat wydał; to wszakże pewna, że jest on o wiele dla nas zrozumialszym, niż Homer albo Dante, bo jest stosunkowo jeszcze może najbliższym, bo go otacza ta sama co nas umysłowa atmosfera humanizmu, bo był wielkim mistrzem największego dotąd artystycznego wieku

*

— wieku Odrodzenia, bo wpływał on bezpośrednio na utworzenie się naszego artystycznego systematu słonecznego — rozumiem przez to nasz romantyzm ze słońcem jego — Mickiewiczem. Wszystkim romantykom świecił on, jak gwiazda przewodnia w puszczy wiodąca z niewoli egipskiej form pseudoklasycznych, Słowacki zapożyczał się u niego ogromnie, jeden Krasiński czuł tajemniczy, pełen obawy wstręt do starego Willa, ale Krasiński był to umysł metafizyczny, Dantemu i wiekom średnim bardziej niżli nam pokrewny, kometa zabłąkana na chwilę pomiędzy nasze stosunki. Nakoniec, gdy i romantyzm począł przekwitać, gdy się zaczął zwrot, śród którego się znajdujemy, ku grubemu realizmowi, i druzgotanie bożyszcz i powag romantycznych, w tym zwrocie jeżeli się ostoi jaka powaga, to bez wątpienia tylko wielkie imię Szekspira, jako największego znawcy duszy ludzkiej i anatoma, najdoskonalszego mistrza z tych, co duszę ludzką słowami oddawali (Taine).

W tem przekonaniu nie może mię zachwiać pojawienie się pamfletów przeciwko tak zwanej Szekspiromanii w Niemczech, naprzykład studya Szekspirowskie Rümelina (1864), widoczna bowiem, że temu niby-realiście chodzi głównie o to, aby nie wywyższano Szekspira ponad niemieckich poetów, narodowych półbogów: Goethego i Schillera. To tak jak gdybyśmy przez patrjotyzm dobijali się o to, żeby postawić na jednej z nim stopie naszych wieszczów, niezaprzeczenie wielkich, największych po Goethem, którzy myśl narodową pchnęli na nowe tory i wedle słów Mickiewicza byli nietylko narodowi, ale potrafili zachować w sobie czystą treść człowieka. („Do Joach. Lel."). Alež to przecie nie da się zaprzeczyć, przynajmniej w zakresie jednego rodzaju literatury, w państwie dramatu, że żaden dotąd dramat, jak to twierdzi słusznie Dowden, nie może iść w porównanie z Szekspirowskim pod względem bogactwa i rozmaitości, podawanych do rozważania przejść, właściwości, starć i odmian charakteru ludzkiego, a to w przypuszczeniu, które stanowi całą istotę nowożytnego dramatu i ani odmienić, ani uzupełnić się nie da, że nad zmiennemi kolejami żywota roztacza się jedna tylko konieczność, jedno fatum, a tem jest fatum samegoż charakteru. Tyle dla realistów.

Stary Will jest największym może realistą, ale ten realizm jest na posługach u najpotężniejszej, jaka może istniała idealizacyi; wszystkie te dusze, których budowę i mechanizm on przed nami rozkłada, on sam utworzył, największy *faiseur d' âmes*, jak go nazywa Taine. Sięga on, wedle słów Dowdena, w świecie swoim idealnym w dwie krzyżujące się nieskończoności; nieskończoność oderwanego myślenia, w której zaledwo go dosięga Goethe, i w nieskończoność namiętności, i daje przed nami olbrzymi, jak dąb panujący nad okolicą, i dostrzegamy na wszystkich drogach Renesansu (*Taine*).

Ten Proteusz zmienia po tysiąc razy postać, skala uczuć potrącanych przezeń jest ogromna; od snów złotych i brylantowych fantazyi, aż do najgwałtowniejszej pasyi, jaka może miotać sercem człowieka. Nic w świecie trudniejszego nad jego charakterystykę; mistrze krytyki najdzielniejsi w dociekaniu głównej cechy w twórczości (*la faculté maitresse* wedle Taina) tracili czas wysilając się na określenia, a z każdego takiego określenia, określany wymyka się, doprowadzając do rozpaczy tych, co nad nim się zaciekali. Oto treść naprzykład jaskrawej, świetnej charakterystyki Taine'a.

Normalnym stanem człowieka w społeczeństwie, jest dźwiganie jarzma moralnego, karności religii, konwenansów obyczaju. W przerwie między dwoma takiemi jarzmami, między karnością katolicką, która zastygła w obrzędach a purytańską, która nie od razu stężała, stanęło Odrodzenie, odrodzenie pogaństwa, rozpasanie się natury, rozbasanie się jej bez hamulca. U każdej rasy odrodzenie było inne. U łacinników, u Włochów, bardziej zmysłowe, zakochane w barwach jasnych, spokojnej sile, rozkoszy, pogodzie. Umysł narodów germańskich, głębiej nurtujący, bardziej ponury upodobał sobie przeważnie ruch, czyn, wytężenie, ból, gwałtowną poezyę i konanie, wymagał dla rozkoszy silnego podrażnienia nerwów. Jacy ludzie, taki i teatr, krwawe widowisko, na którem występują ludzie niby gładcy, ale wskutek braku hamulca, tak w czynach swych pierwotni, jak przed brzaskiem cywilizacyi; między pobudką a czynem, nie ma u nich rozwagi, i bez żadnego celowania i namysłu za najmniejszym ruchem palca, strzała czynu leci pędzona cięciwą wyobraźni. Ta wyobraźnia gwałtowna, pełna i szalona, jest cechującym Szekspira przymiotem. Każdy frazes, każda z jego działających osób ma to do siebie, że odsłania nam w jednej chwili myśli, pod myślą uczucie myśl rodzące, pod uczuciem wywołujące je namiętności, a oprócz tego charakter, temperament, nawet postać, zachowanie się i giest osoby. Jest to myślenie nie za pomocą oderwań (abstrakcyi) porządnych, szykownych, ale skokami, przez same tylko żywe obrazy. Zamiast wykładu i rozumowań poeta rzuca nam jęk, wykrzyknienie, drgające włókno wyrwane z żywego organizmu. Domyślaj się reszty, ale z tego włókna, wmyśliwszy się docieczesz osoby z duszą i ciałem, przeszłością i przyszłością, z giestem i wyrazem twarzy, których wymagała sytuacya. Jest to olbrzymia, namiętna wyobraźnia, nie okiełznana, nie hamowana rozumem, ni moralnością, malująca naturę jak jest — nago i bez godności, we wszystkich jej potwornych bezprawiach i wybrykach i napełniająca swoje utwory takiemiż jak ona sama ludźmi namiętnymi i niesfornymi, gwałtownie się ścierającymi i zdradzającymi wszelkie słabości i bezeceństwa. Jacy ludzie, takie i pojęcie o człowieku w ogóle. Jestto niby machina nerwowa, od temperamentu zależna, przypadkowo i czasami tylko na chwilę rozumna, mięszanina zwierzęcia i poety; nie ma w niej cnoty, jeno czułość, pędzi ja tylko wyobraźnia przez największe niespodzianki ku boleści, zbrodni, szaleństwu i śmierci.

Tyle u Taine'a. Sposób tworzenia Szekspirowski pochwycony tu na gorącym uczynku, ale czyż ujęty sam Szekspir; cały Szekspir? Widzimy wściekłego realistę, malującego z wielką furyą naturę, w większych niż naturalne rozmiarach i nago, ale gdzież się podział czuły marzyciel, twórca idealnie wzniosłych i jako stal mocnych charakterów, jak Izabela, albo Imogena; cierpiący z Hamletem nad tem, że „świat wyszedł z karbów" uciekający myślą z poziomej rzeczywistości w świat lepszy na odludną wyspę z Prosperem, by pędzić żywot mędrca-samotnika, albo do sielankowego stanu natury, dokąd nas powola wiek XVIII do lasu ardeńskiego, gdzie wygnany książę (jak się podoba II 1) powiada: *tu Adamową odczuwamy karę tylko w różnicy pór roku.* W cóż się obrócił filozof i historyczny badacz powtarzających się zjawisk i stałych praw w obrocie dziejów, który świadom doskonale tego, co wypowiada ustami Henryka IV (cz. 2 III, 1): *w życiu każdego człeka są wypadki, które przeszłości żywem są odbiciem, ktoby je śledził, prawie bez zawodu w głównych zarysach może prorokować Zdarzenia śpiące jeszcze w łonie czasu, w wątłym tam jeszcze zarodku uwite, Co z czasu biegiem na jaw się wykłują.* W cóż się obrócił w końcu wielki domierzacz sprawiedliwości, nie tej melodramatycznej, której jak w owe czasy, tak i dzisiaj domaga się gawiedź, i dla której rzucone słowa epilogu „Peryklesa" (*że cnota na tym nawet świecie Przez życia próby, mimo ludzi złości, Zawija w końcu do portu radości),* ale owej wyższej, tragicznej, stanowiącej istotę nowożytnego dramatu, którą Schiller tak oddał w Walensteinie słowami: *In deiner Brust sind deines Schicksalls Sterne.* Tego dramatu i tej jego osnowy, któż głównym twórcą, jeżeli nie Szekspir? Po nad stosami trupów, zaścielającemi scenę po krwawej a nieuniknionej katastrofie, nie pozostaje w sercu goryczy i żalu lecz, jak należy, następuje ulga z przeczuwanego i przezierającego przez całą tę zawieruchę wyższego i mędrszego nad rozumowania ludzkie rzeczy porządku. Szekspir maluje, jak się ludzie roznamiętniają, ale całą wielkość pokłada w majestacie woli. Stary Gaunt mówi do wygnanego syna (Ryszard II, I, 8) *Tę z konieczności wyprowadź naukę, że nad konieczność nie ma większej cnoty. Nie myśl, że ciebie król, lecz że ty króla wygnałeś.* Nawet taki zbrodniarz jak Makbet, taki potwór jak Ryszard III okupują po części krwawe życie bohaterstwem śmierci. Obok brzydkich i podłych, w sprawach Szekspira, zwanych osobami, jakież szlachetne popędy! a nad ginącymi z własnej winy szlachetnymi nieszczęśliwcami chciałoby się powtórzyć i to prawie nad każdym słowa Horacego: *Niechaj ci do snu nucą chóry niebian!* Raz tylko może nie dopisało mu uczucie moralne, gdy ku wielkiej zapewne uciesze swoich spektatorów wymuszał na Szajloku chrzest natychmiastowy i darowiznę wszystkich majątków, to jest wymyślał coś gorszego i okrutniejszego w danym przypadku nad szubienicę (IV 1).

(Ciąg dalszy nastąpi).

POD KRZYŻEM

Mroźny i wietrzny był wieczór styczniowy.
Drżący blask latarń migotał na śniegu,
Wiatr głucho jęczał wśród ciszy grobowej,
Lub gdzieś skrzypiącą wstrząsał okiennicą,
Mimo kamienic milczących szeregu
Rzadki przechodzeń pomykał ulicą.

Wśród cieniów nocy rozsnutych dokoła,
Jakież to światło jaśnieje w oddali?
U zbiegu ulic na ścianie kościoła
Krzyż — a na krzyżu uwieńczon cierniami
Zbawiciel kona pomiędzy łotrami...
Lampeczek kilka pod krzyżem się pali.

A pod figurą Pana po nad Pany
Chłopak zziębnięty, otulon w łachmany,
Z wyrazem w twarzy nędzy i cierpienia
Do tych lampeczek chwiejnego płomienia

Skostniałe, sine wyciąga rączęta.
Ale stóp krzyża broni gęsta krata,
Taka wysoka, tak szczelnie zamknięta!
Dziecku błysnęły w oczach dwie łzy duże...
Chciało wstać... padło... przy kościelnym murze,
U stóp figury Zbawiciela świata.

I szedł tamtędy ktoś dziwakiem zwany,
I na ten widok krew ma w sercu skrzepła,
I podniósł z ziemi na wpół martwe dziecię.
Jak mógł otulił w swój płaszczyk łatany
I zabrał z sobą szepnąwszy: O świecie!
Mniej nieco świateł daj Panu nad Pany,
A jego biednym dziatkom więcej — ciepła!

Kraków 31. stycznia 1881.

Czesław.

Kronika Tygodniowa.

Pasmo życia publicznego we Lwowie snuło się tą samą i nieprzerwaną nicią niby ciąg dalszy ubiegłego tygodnia, z tą chyba różnicą, że nie umarł żaden poseł do Rady państwa, ale przeciwnie przybył nowy do Sejmu krajowego na miejsce zmarłego starosty stanisławowskiego hr. Łosia. Zwyciężyli Rusini większością pięciu głosów naprzeciw p. Brykczyńskiemu i przeprowadzili kandydata swego p. Dobrzańskiego czy teraz Dobrjańskiego, adwokata tutejszego. Rada ruska poruszyła niebo i ziemię, zwierzęta domowe i leśne, wezwała na pomoc grady, nieurodzaj, pomór, głód i inne okropne okropności wzywając włościan do głosowania za p. Dobrjańskim, tak, że biedni ludziska skombinowawszy sobie te wszystkie strachy na Lachy, dotąd jeszcze nie wiedzą czy Rada ruska przemawiała w imieniu prawdziwego, czy też ruskiego pana Boga, który jest w Narodnim domu. — Przybywa zatem nowy i to dość gorliwy propagator moskalofilski naszemu sejmowi, z którym jednak damy sobie jakoś radę.

W dalszym ciągu również bawiono się na dwóch balach publicznych, prawników i tak zwanym św. Zofji, naturalnie, ochoczo, wybornie i z dobrym skutkiem dla celów, dla których te zabawy co rok się urządzają. Pewien szlachcic wołyński zapłacił za jedną kamelję na druciku sto rubli i za to należy mu się wdzięczność od naszych biednych dzieci leczonych w szpitaliku św. Zofji. Pokazuje się z tego, że od naszych panów można czasami coś wydostać, aby tylko umieć poruszyć ich wspaniałomyślność, zwłaszcza gdy do takich spraw wezmą się takie osoby jak księżna Sapieżyna, jedyna prawie z arystokracji tutejszej szlachetnie i po chrześciańskku pojmująca swoją obywatelską i wyższą pozycję socjalną. Szkoda tylko, że ta dobroczynna pani, prawdziwa patronka ubogich Lwowa, tak mało znajduje tutaj naśladowczyń, któreby przenosiły blask dobrych czynów nad blask drogich kamieni. Ha, rozmaite są gusta i upodobania! Dla jednych łzy wdzięczności matki odbierającej uzdrowione dziecko — przynosi radość sercu i zozjaśnia duszę, dla drugich kosztowna suknia i szlifowane kamienie na piersiach zdają się być treścią a sama osoba dodatkiem człowieka; — zależy to od upodobań i pojęć. Cóż robić, tak było, jest i będzie na świecie. Naprzykład, umarł tu w zeszłym tygodniu, znany powszechnie dziwak i skąpiec hr. Skarbek. Umarł literalnie bez koszuli, obwinięty w swój kożuszek, w którym codziennie chodził po ulicy; a jednak cały swój majątek jaki posiadał, zebrany drogą niesłychanego skąpstwa dla siebie samego, zostawił ubogim fundacji Skarbkowskiej. Od lat jedenastu piec w jego stancyjce na trzeciem piętrze nie widział ognia, na cztery lata przed śmiercią nie używał do kaszy i kartofli, któremi się żywił, ani omasty żadnej, ani nawet soli, a mimo to zostawi po sobie długowieczną pamięć w wdzięczności tych sierot wychodzących z zakładu drohowyzkiego, które za te owoce jego skąpstwa będą mogli szczęśliwe i pożyteczne rozpocząć życie dla siebie i dla kraju. — Historję dziwactw tego człowieka opowiadają sobie panowie z wesołym uśmiechem na ustach, na trumnie jego nie widzieliśmy wieńców, pisma krajowe nie rozpisywały się o jego zasługach, o jego pracach mających uszczęśliwić państwo i ludzkość. — Grono uczciwych i zacnych ludzi odprowadziło go na miejsce wiecznego spoczynku, bez mów, parad i muzyki, dla czego? — Nie żył z ludźmi, nie karmił i nie poił, a sukcesorami zostawił biedne nieznane sieroty, które karetami nie jeżdżą. Zaprawdę, człowiek ten wygórowanych pojęć o godności człowieczej, który własny egoizm i pychę umiał wziąć w karby silnej woli i szlachetnego zapanowania nad osobistemi potrzebami, stokroć więcej wart od tych milionowych spadkodawców, którzy w tak wielkim rezerwoarze uczuć i zasług, o jakie ich przyjaciele i panegiryści posądzają, nie znaleźli tej odrobiny współczucia dla nędzy, dla której choćby parę set reńskich wsparcia przeznaczyć mogli. — Sic transit gloria mundi...

Jeszcze lepiej popisał się znany z dziejów ostatniego powstania p. Ludwik Grabowski, człowiek bezdzietny i bogaty, dawszy słowo i przyrzeczenie czcigodnemu Kraszewskiemu ofiarowania 20,000 rbl. na założenie tak zwanej „Macierzy Polskiej“. W swoim czasie, gdy ta wieść rozniosła się po polskiej krainie, tyle napisano pochwał w cześć wspaniałomyślnego dawcy, tyle mu z przeszłości zapomniano, tyle robiono sobie nadziei!... Aż tu naraz sławetny ofiarodawca zwija chorągiewkę i cicho, sza... Szczęściem i to dzięki usiłowaniom szanownego Nestora pisarzy polskich, znalazł się kto inny, co, bez krzyku, bez wdzięczności i bez słowa honoru, jako nieznajomy wynagrodził tak ciężki zawód narodowi uczyniony, naprawiając ten smutny żart pański przez ofiarę na ten cel summy 25.000 rs. Moglibyśmy na tem miejscu wiele i to prawdopodobnych postawić domysłów, któreby dla p. L. Grabowskiego nie bardzo były przyjemnemi, jednak nateraz damy pokój, ograniczając się na doniesieniu, że Macierz Polska ze sfery obietnic w tym roku wejdzie w sfery żywego czynu, a to w nadziei, że właśnie wbrew postąpieniu p. Grabowskiego, przykład nieznanego dobroczyńcy, znajdzie hojnych i zacnych naśladowców.

Przyjechał nowy marszałek krajowy, p. dr Zyblikiewicz i objął urzędowanie w Wydziale krajowym. Namiestnik hr. Potocki zainstalował go we środę. Zastępca p. Marszałka, p. Oktaw Pietruski, powitał go przemową pełną godności, jedną z najlepszych jakieśmy dotąd słyszeli. Podniósł on i to bardzo słusznie, że jakkolwiek Wydział krajowy nie zdziałał może w granicach swej attrybucji tego co mógł, to jednak dobrych i szczerych intencji odmówić mu nie można. Przyjmując zatem w imieniu całego kraju nowego, z szczerem uznaniem zasług przewodnika Sejmu i Wydziału, ma nadzieję, że on przypatrzywszy się bliżej czynnościom tej Instytucji, nabierze tego samego przekonania o jej usiłowaniach i jak zawsze tak i nadal stanie się orędownikiem władz autonomicznych, tam, gdzie bronić ich wypadnie potrzeba. P. Marszałek odpowiedział krótko i serdecznie, zaznaczywszy trudności tych nowych obowiązków jakie właśnie jego czekają, a których kto inny na jego miejscu będący mógłby uniknąć, jednak ma w Bogu nadzieję, że przy pomocy kraju i członków Wydziału, tego oczekiwania nie zawiedzie. My od siebie powiemy tylko „Szczęść Boże,“ bo doprawdy czas już aby nam zaczęło świtać lepsze ekonomiczne jutro!

OSTATNIA WYPRAWA DO TYBETU

Pułkownika Przewalskiego.

W trzydzieści pięć objuczonych wielbłądów i kilka koni wierzchowych, wyruszył Przewalski wraz z garstką towarzyszy na ostatnią wyprawę naukową do Tybetu i Mongolji...

Wędrowało z nim oficerów dwóch, kozaków pięciu, żołnierzy czterech i jeden mongoł, jako tłomacz.

Podróż rozpoczęto od posterunku Zajsanskiego.

Po niedługim czasie wędrowcy zostawili już po za sobą grzbiety gór tianszańskich, a przed nimi rozpostarła się pustynia głucha, bezludna, przez którą od czasu do czasu pędziły dzikie bawoły, zwane tu *jakami.*

Podróżni dążyli do Chami.

Ziemia tu nie zieleni się roślinnością, grunt skalisty lub piaszczysty; gdzieniegdzie tylko o wiorst 30 do 50 ukazywały się studnie ubogie w dobrą wodę, mogące dać jej zaledwie wiader kilka.

Droga po rzece Bałundze była nieco znośniejszą; klimat jednak zmienił się tu wielce.

Podróż można było odbywać przeważnie tylko nocą, bo zdarzało się i to nierzadko, iż barometr Celsiusza wskazywał +60°.

W Chami członkowie wyprawy podejmowani byli przez gubernatora, Czyn-Soj-mengczun, głównodowodzącego armją, która miała być czynną w zamierzonej wojnie z Rosją.

Przyjęcie było nie złe, lecz gdy Przewalski prosił, aby dano mu przewodników do oazy Suczen, do której droga, jak mówili Chińczycy, usłana była trupami ludzi i wielbłądów, Czyn-Soj-meng-czun odmówił temu życzeniu stanowczo.

Położenie było krytyczne; aby obejść pustynię, trzeba było przebyć wiorst 3.400, prosta zaś droga wynosiła wiorst około trzystu.

Przewalski nie długo się wahał; postanowił iść prosto, badając drogę częstemi rozjazdami.

Podróż stała się bardzo przykrą; w dzień upał dochodził do 68° w ziemi; wody nie było i tylko piaski i piaski, kamienie, trupy.

Wreszcie na widnokręgu zabieliły się śnie-

żne Ałtyszanu szczyty — wędrowcy odetchnęli swobodniej.

Po tylu trudach i niewygodach, oaza Suczen, rzeką Danche uwodniona, wydała im się prawdziwym rajem.

Prędzej jednak, niż podróżni, musiały tu widocznie przyjść o nich wiadomości z Pekinu, a dzięki zapewne tym instrukcjom przyjęto ich chłodniej aniżeli w Chami.

I tutaj także gubernator odmówił im przewodnika, — więc wzięto go przemocą.

Pozyskany w ten sposób przewodnik poprowadził takiemi manowcami, że niepodobna było jechać.

Szli więc pieszo — lecz dalej niemożebną już było rzeczą nawet i pieszo postępować.

Już postanowiono wracać do Sanczen, gdy wtem na szczęście napotkano mongołów, a ci za odpowiedniem wynagrodzeniem zgodzili się poprowadzić ekspedycję dalej; pod ich przewodnictwem przeszli podróżni przez góry ałtynszańskie i tutaj w rozkosznie uwodnionej dolinie przepędzili cały lipiec.

Przewalski nie tracił czasu daremnie.

Badał okolice; zdrój jaki tu znalazł, nazwał błogosławionym, a na mapie oznaczył dwa pierwszorzędne pasma gór, ochrzciwszy je nazwiskami Rittera i Newtona.

Dalsza droga do Tybetu szła przez miejscowości również do przybycia trudne; przytem krajowcy usposobieni byli dla podróżnych bardzo nieprzyjaźnie i ujawniali to postępowaniem.

Nieraz trzeba było dobyć pałaszy z pochew, nieraz grzmiały dwururki...

Przyjęcie w Sajdumie było jeszcze gorsze niż w Sanczen; książę, stary znajomy a nawet przyjaciel Przewalskiego z czasów pierwszej wyprawy, odmówił stanowczo przewodników i dopiero po wielu prośbach dał przewodnika, lecz jakiegoś idjotę.

W miesiącu wrześniu podróżni przeprawiali się przez rzekę Niebieską i wkroczyli do Tybetu.

Śnieg padał.

Przez dwa tygodnie szli po płaskowzgórzach pokrytych trzęsawiskami i trawą *motoszerei* do tego stopnia ostrą, iż wielbłądy tak sobie nim pokaleczyły nogi, że iść prawie nie mogły.

Przewodnika musiano się pozbyć, bo przekonano się, że jest zupełnym idjotą.

Położenie straszne; znów bezludna pustynia, a drogi nie widać niegdzie.

Rozesłani w rozmaitych kierunkach ludzie, wrócili z wiadomościami niezbyt pocieszającemi; przed podróżnymi, na przodzie piętrzyło się groźne pasmo gór Tanlojskich.

Na szczęście po długich poszukiwaniach, znaleziono jakąś ścieżkę; tędy, jak się okazało później, dążyła karawana pielgrzymów do Lassy

Za śladami przez karawanę pozostawionemi, skierowała się ekspedycja ku pasmu gór i po przejściu wiorst 150, dosięgła najwyższego wierzchołka.

Barometr wskazywał tu 16,000, radość podróżnych nie znała granic; do Lassy pozostawało jeszcze wiorst tylko 300.

Wędrowcy zaczęli schodzić po wyniosłych stokach, wkrótce pokazali się Tunguci, pytając czyby nie kupiono od nich rozmaitego rodzaju tłuszczu.

Nagle podczas targu, jeden z Tungutów uderzył kozaka pałaszem, drugi ranił znów innego piką; natychmiast kilku podróżnych porwało się do pałaszy.

Inni odwiedli kurki, spuścili, i czterech zbójów powaliło się na ziemię...

Reszta ratowała się ucieczką spieszną, pozostawiwszy swych towarzyszy nieżywych; położenie ekspedycji stawało się coraz niebezpieczniejszem, nieprzyjaciel wprawdzie się nie zbliżał, ale ukazywał się ciągle niedaleko i często bardzo licznie.

Nieraz jeszcze trzeba było torować sobie drogę pałaszami!

W pobliżu już Lassy czekała podróżnych prawdziwa niespodzianka; przybyła do nich deputacja z Lassy.

Nawiasem mówiąc, rozeszła się w tamtych stronach pogłoska, że pułkownik Przewalski chce porwać Dalaj-Lamę, naczelnika wyznawców Buddy.

Wieść o ukazaniu się trzynastu *janguillów* (tak nazywają tu europejczyków) rzuciła postrach na święte miasto, mające kilkaset tysięcy mieszkańców.

Wysłana z Lassy deputacja zachowywała się bardzo pokornie i językiem tybetańskim, z natury szorstkim, bo spółgłoskami przepełnionym, ofiarowywała nawet kontrybucję, jakiejby chciano, byleby tylko Przewalski nie szedł do miasta Lassy i nie przynosił tam z sobą nieszczęścia!

Pomimo próśb deputatów, Przewalski postanowił udać się do Lassy; później jednak, namyśliwszy się słusznie, że łatwo mogą stracić urok, jaki tam wywierali i że również łatwo mogą być wymordowani przez setki tysięcy mongołów, zmienił projekt.

Oznajmił błagającym go deputatom, że gotów jest wrócić się, lecz żąda dowodu na piśmie, iż władze miasta, wbrew rozkazom z Pekinu, nie chciały wpuścić Rosjan do Lassy; po otrzymaniu wymaganego dokumentu, Przewalski podążył z powrotem.

Droga, którą wracano, zajęta była przez Tungutów; pałasze torowały znów przejście...

Do Sajdumu, dokąd wracali, było wiorst 800; z trzydziestu pięciu wielbłądów padło już 24.

Zimna i zawieje dokuczały strasznie; przewodników nie miano — żywiono się też mąką żytnią z wodą.

Los ekspedycji zapowiadał się w sposób bardzo opłakany...

Wtem podczas jednego z rozjazdów, przypadkowo napotkano dwóch mongołów; stali się oni prawdziwymi wybawcami ekspedycji.

Zmuszeni pogróżkami, mongołowie poprowadzili Przewalskiego inną drogą; podróżni przeprawiali się znów przez rzekę Niebieską i dość już szczęśliwie dotarli do miasta Sinina, w pobliżu jeziora Kuku-Noor.

W Sininie witano Przewalskiego z wszelkiemi ceremonjami chińskiemi, ale nieszczerze.

Przewalski zamierzał odbyć ztąd podróż, w celu poszukiwania nieznanych źródeł rzeki Żółtej; projekt ten nie podobał się jednak *ambanowi*, t. j. naczelnikowi tej części kraju.

Wręcz odmówił on przewodników i chcąc Przewalskiego zniechęcić do podróży całkiem, oświadczył mu, że tam mieszkają... ludożercy!

— Tem lepiej! — odrzekł Przewalski — podróż będzie jeszcze ciekawszą.

W obec tak niezachwianego postanowienia amban widząc, że Przewalskiego nic nie odwiedzie od zamierzonej podróży, zgodził się wreszcie dać przewodników dla wyprawy, wszelako wziął poświadczenie od naczelnika ekspedycji, iż tenże bierze na siebie wszelkie tej wycieczki następstwa...

Wyruszono znów w drogę, przebyto góry, otaczające tonie błękitne jeziora Kuku-Noor i spuszczono się w dolinę rzeki Żółtej.

Nastąpił już miesiąc marzec, pogoda była wiosenna.

Okolica wydawała się jakby bezludną, lecz była nią tylko pozornie, gdyż przed zbliżającymi się janguilami krajowcy uciekali: tylko w nocy na górach płonęły ognie, na znak, iż barbarzyńcy europejscy są już niedaleko.

Miejscowość, którą przebywali podróżni, odznaczała się niezwykłem bogactwem roślinności i zwierząt; w głębokich kotlinach ciemniały lasy gęste, jakich podróżni nie widzieli już dawno, bo w Tybecie drzew prawie nie ma.

Na płaskowzgórzu rosło tu wiele rabarbaru, którego tu nikt nie zbiera; jeden z korzeni rabarbarowych średniej wielkości, wykopany przez Przewalskiego ważył funtów 27, a po ususzeniu go, funtów 9.

Ptactwa uwijało się mnóstwo; szczególnie wyróżniały się błękitne bażanty, z opierzeniem wspaniałem, duże jak głuszce.

Droga, którą dążyli wędrowcy, z początku równa, niebawem zmieniła się znacznie; co raz częściej i częściej zaczęto napotykać strome skały, około 1000 stóp wysokie, a przy nich gwałtownie płynące potoki górskie.

Wreszcie zagrodziła drogę olbrzymia ściana prostopadła gór niebotycznych, z których ze straszliwym łoskotem wypadała w szalonym pędzie rzeka Żółta.

Dalej iść było niepodobna...

Ekspedycja wróciła do Sininu, a ztamtąd przez pustynię Mongolji, na Urgę i Kiachtę przybyła do Syberji.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

Ks. Tomasz Kowalski. Geometrja praktyczna wiejska, dla właścicieli ziemskich, nauczycieli ludowych i dla leśniczych. Z 180 drzeworytami w tekście. Jarosław 1880. Nakładem autora. str 259.

Dzieło, o którem mówić chcemy, otrzymaliśmy już przed kilkoma miesiącami, ale dopiero dzisiaj zdajemy z niego sprawę, gdyż jako ściśle naukowe, wymagało dłuższego rozpatrzenia i zbadania.

Książka ta nie należy wprawdzie do tak zwanej pięknej literatury, ale za to do bardzo pożytecznej i praktycznej; a zwrócenie na nią uwagi — choćby tylko tych, którzy z niej zechcą korzystać — należy do naszych obowiązków.

Piśmiennictwo polskie w dziale rolnictwa, nauk przyrodniczych i matematycznych wykazuje w ostatnich latach, znaczny zastęp dzieł pierwszorzędnej wartości; są to jednak rzeczy przeznaczone bądź dla ludzi zawodowo wykształconych, bądź dla uczącej się młodzieży. Opracowań popularnych, z którychby użytkować mogli ludzie nie fachowi, jest nadzwyczaj mało, zwłaszcza w dziale nauk matematycznych. Dzieło ks. Ko-

walskiego stara się wypełnić brak w tym właśnie dziale i jego „Geometrja praktyczna“ czyli miernictwo wiejskie, do użytku rolników i leśników zastosowane, witamy z prawdziwą przyjemnością.

Autor wie, że w naszym kraju większa część tych, dla których przeznaczył swoją książkę, niezrozumie jej bez przedwstępnych objaśnień; to też właściwe miernictwo, poprzedził wykładem elementarnych zasad geomerji dwu i trzechwymiarowej, napisanem jasno, dokładnie, i poparł go licznemi przykładami, zagadnieniami wraz z ich przywiązaniem, tak, że po przestudjowaniu tej części wstępnej, każdy jest wstanie zorjentować się w nauce miernictwa i z dalszej części dzieła rzetelny odnieść pożytek, ucząc się wykonywać wszelkie pomiary na gruncie, jedynie z pomocą książki ks. Kowalskiego. Mierzenie wysokości różnych przedmiotów w otwartem polu i lesie; mierzenie odległości większych i mniejszych na równym, pagórkowatym i górzystym terenie; mierzenie płaszczyzn regularnych i nieregularnych; wytykanie linji prostych i krzywych, bądź w miejscach przystępnych, bądź nieprzystępnych; zdejmowanie planów sytuacyjnych za pomocą stolika i bez tegoż; wymierzanie gruntów z uwzględnieniem różnej dobroci gleby; — oto przedmiot właściwej geometrji praktycznej, który w książce księdza Kowalskiego równie dokładnie i umiejętnie, jak przystępnie, jasno i z ożywieniem jest traktowany. Trzeba by być tępą bardzo głową, aby się z tej książki nie nauczyć miernictwa, w zakresie potrzebnym rolnikom, nauczycielom, leśnikom, konduktorom dróg rządowych, krajowych i gminnych.

Dopełnia dzieła rozdział o poziomowaniu czyli niwelacji; bardzo przydatny dla tych, którzy zakładają dreny i rowy, odwodniają i nawodniają łąki, bez pomocy inżynierów. Kończy się dzieło ustępem o rachunku mierniczym Po przestudjowaniu książki ks. Kowalskiego, zamknęliśmy ją z wrażeniem bardzo dla niej pochlebnem, gdyż musieliśmy przyznać, żeśmy przeczytali dzieło bardzo pożyteczne. Drzeworyty do objaśnienia zagadnień służące dużo pozostawiają — jako drzeworyty — do życzenia; niemniej jednak są do dzieła popularnego wystarczające. Uznając zalety, zrobimy książce dwa zarzuty. Po pierwsze, autor powtarza się w tłumaczeniu twierdzeń, a pochodzi to z braku planu naprzód powziętego i za małej systematyczności w wykładzie. Wady tej niepoznają jednak ci, dla których ona jest przeznaczona, aż książkę przewertują i okoliczność ta zmniejsza winę autora. Drugi zarzut jest cięższy. Zarzut to niedbałości o nasz ojczysty język i silenie się na jakieś dziwaczne, niepolskie zwroty mowy.

W każdym razie dzieło księdza Kowalskiego nie tylko jest bardzo na czasie, ale nadto, wielce polecenia godne i sądzimy, że znajdzie popyt i pokup u tych, dla których przeznaczone, czego mu szczerze życzymy.

W. J. Wdowiszewski.

SALONY REPUBLIKAŃSKIE.

Republice brakuje kobiet! Jest to fakt nie ulegający wątpliwości, pisze z Paryża p. Nordau do *Deutsches Montagsblatt*, z którego szczegóły te czerpiemy. Kobiet rzeczpospolita nie uznała jako publiczną instytucję. Spodniczka przestała być stronniczym sztandarem w republice, madrygał nie zastąpi politycznego wyznania wiary, a cotylion nie stanowi już osnowy politycznych akcji. „Nie pomoże młodość, piękna krew,“ republikanie są niedźwiedziami, nie będą oni dawać wotów uznania za spojrzenia pięknych oczu i usmiechy zdradzieckich ust. Można wprawdzie wpływowe jednostki związać czułemi pętami, lecz powszechne prawo głosowania jest nazbyt wielkim, niewzruszonym nieprzyjacielem kobiecej strategji. Nie łatwo wyobrazić sobie ambitną kobietę, któraby postanowiła uwieść ośm milionów głosujących obywateli środkami, które wymagają bezwarunkowo osobistej aplikacji. Nie powiem, aby kobieta i z tymi nie mogła sobie poradzić, wytrwałość i dobra chęć wiele dokazać mogą! Lecz ośm milionów obywateli należałoby zawojować jednocześnie, a to już przechodzi siły najzdolniejszej nawet zalotnicy.

W początkach republiki damy z wyższego towarzystwa okazywały wiele dobrych chęci; byłoby niesprawiedliwością o tem zamilczeć; stało się dobrym tonem bywać na posiedzeniach izby i na trybunach wersalskich zajadać cukierki. Pewna księżniczka posunęła się nawet w swym pojednawczym zapale tak daleko, że 1876 r. pierwsza przywdziała kapelusz, którego fason z lekka przypominał czapkę frygijską, a moda ta stała się panującą, dopóki jej nie wyrugowały nadeszłe z Londynu fasony kapeluszy à la Rembrand lub Nelasquez.

Z tem wszystkiem — trudno temu uwierzyć — republika nie objawiła żadnej wdzięczności za ów kapeluszowy hołd złożony nowej formie państwa. Republikańskich posłów nie wzruszyła bynajmniej obecność dojrzałych piękności, które galerje zapełniały szelestem wachlarzy, głośną rozmową i śmiechem, podczas gdy w sali poselskiej rozstrzygano najważniejsze sprawy państwowe. Miła imitacja czapki frygijskiej, która miała być komplementem dla republiki nie zdołała „pięknym światowym damom,“ których piękność bywa często nie tyle darem wrodzonym ile krawieckim, przywrócić politycznych i społecznych wpływów, jakie posiadały za drugiego cesarstwa. Po tych eksperymentach owe *bellesmondaines* zerwały z republiką, jako z osobą bez wychowania i taktu i dumnie przed nią drzwi swoje pozamykały.

Republika pocieszyła się faktem tym jak mogła, z tem wszystkiem nie posiada ona salonów. Wielka rewolucja była zasadniczą nieprzyjaciółką salonu, owego ogromnego wału dawnych rządów, owego miniaturowego naśladownictwa w mniej lub więcej szlachetnym stylu wersalskiego dworu. Rewolucja zburzyła salon, nie mogła bowiem ścierpieć jego drobnych intryg, jego swawolnych galanterji, niegodnych rozrywek umysłowych i jego arystokratycznej wyłączności.

Rewolucja starała się zresztą dostarczać rozrywki i zadekretowała bratnie uczty *agapes fraternelles*, na które ludność całej ulicy lub pewnej jej części licznie się gromadziła. Na uczty te składali się obywatele w miarę swej pieniężnej możności. Była to rewolucyjna kompensata salonu.

Dotychczas republikanie nie zdołali utworzyć swego salonu, gdyż przywódzcy ich nie posiadają warunków, śród których powstać by mógł prawdziwy salon. *Gambetta* jest bezżenny, może więc zapraszać na oficjalne obiady i wieczorki mężczyzn jedynie. *Wiktor Hugo* nie ma żony, co entuzjastycznym damom nie przeszkadza bywać u poety; wszelako ton u niego panujący, nazbyt jest bałwochwalczym, i dla tego poufne rozmowy lżejszego pokroju zapanować nie mogą, a jest to pierwszym warunkiem prawdziwego salonu. Można bez przesady zauważyć, że salon Wiktora Hugo więcej przypomina pogańską świątynię niż salon. *Emil Girardin* pod względem salonowo - francuskich tradycji zajmuje pierwsze miejsce, lecz od czasu śmierci jego genialnej żony, i rozłąki z drugą, zarówno piękną jak pozbawioną wykształcenia, Girardin przyjmuje rzadko i to tylko najbliższych przyjaciół; nie stara się on bynajmniej, aby zrobić z salonu swego środkowy punkt towarzyskiego życia, poprzestając na wpływie swej dziennikarskiej działalności. *Thiers* był namiętnym zwolennikiem towarzyskiej rozmowy, był majętny i żonaty, wszelako ani podczas swej prezydentury, ani też potem nie otwierał swych salonów, gdyż znana z oszczędności małżonka Thiersa opierała się wszelakim kosztownym przyjęciom. *Grévy* otwiera wspaniałe salony elizejskie jedynie w razie urzędowych uroczystości.

Od czasu powstania trzeciej republiki, były właściwie tylko dwa salony republikańskie, z których jeden wkrótce opustoszał, drugi zaś stracił w zasadzie swe polityczne znaczenie. Pierwszy z tych salonów był księżnej Trubeckoj. Wielka ta dama, posiadająca odpowiedni swemu towarzyskiemu stanowisku majątek i liczne stosunki, ogarniające cały wyższy świat paryski, przytem przyjaciółka literatury i sztuk pięknych, wykształcona lingwistka, posiadająca dowcip w rozmowie, dzierżyła berło paryskich salonów. Księżna prócz tego żywo interesowała się politycznemi kabałami, do pewnego stopnia sympatyzowała z republiką i jej filarami, co w sferach, do których należy księżna, nie często się zdarza. Wskutek tego więc pałac jej na polach elizejskich ściągał do swych komnat wszystkie republikańskie znakomitości, które tu po raz pierwszy zetknęły się z żywiołami dotychczas zupełnie im obcemi. W salonach tych często spotkać można było Thiersa i Gambettę, którzy tu bliżej się ze sobą poznali; posłowie zagranicznych mocarstw obcowali tu z posłami lewicy; przejezdni zagraniczni książęta i arystokracja poznawali ludzi przyszłości i przeszłości; rozmowa toczyła się swobodnie, udzielano sobie wzajemnie różnych nowości z chwili bieżącej, przysłuchiwano się opiniom wysoko postawionych osobistości w kwestjach publicznych. Ludzie różnych kierunków, francuscy radykaliści i niemieccy posłowie rozprawiali tu ze sobą każdy ze swego punktu widzenia. Zdawało się, że salony księżny Trubeckoj jednoczyły wszystkie żywioły, aby stać się niejako polityczną i społeczną areną pierwszego rzędu. Niestety jednak księżna popełniła kilka małych usterek, czem silnie naraziła się przedniejszym reakcyjnym klikom. Usiłowała ona czasami wpływać na francuskich polityków w sprawach zewnętrznych i wewnętrznych co reakcjoniści uznali za rzecz nie taktowną; zagranicznych korespondentów dziennikarskich przyjmowała z niezwykłą gościnnością, co zarówno dyplomatom jak i przywódzcom republikańskim niezbyt się podobało. To też goście pani Trubeckoj przekonali się, że niewinne ich zwierzenia rozchodziły się z salonów księżnej

po szerokim świecie europejskich i angielskich dzienników i to z różnemi dodatkami i komentarzami.

Pojawiła się tu wskutek tego nieufność i przezorność, zwłaszcza w obec niektórych z powołania swego niedyskretnych gości. Wszystko to wpłynęło na zmianę charakteru przyjęć, które stały się chłodniejszemi i ceremonialniejszemi. Doszło do tego, że Sardou w swej *Dorze* publicznie ośmieszył salony księżnej Trubeckoj w jej domu. Ponieważ zaś jednocześnie przypadły na księżnę różnego rodzaju rodzinne przykrości, zamknęła więc swoje salony i opuściła Paryż, w którym od 1873 do 1877 roku odgrywała pierwszorzędną rolę.

Drugim salonem, do którego przeszli goście ks. Trubeckoj był salon p. Adam, znanej pod imieniem Juljety Lambert, wsławionej powieściami i opisami podróży. Pani Adam, jakkolwiek obecnie już babka, odznacza się niezwykłą pięknością, ślicznemi czarnemi oczami, dziewiczym biustem, złośliwą i zawsze ożywioną twarzyczką, mającą co najwyżej wygląd trzydziestoletni. Obok wdzięków fizycznych odznacza się pani Adam niezwykłemi przymiotami towarzyskiemi. Zadziwiająca ta kobieta, jest nie tylko piękną, miłą i mimo swego wieku nieprawdopodobnie młodą, lecz posiada ona tak niezwykły i porywający humor, dowcip i talent konwersacyjny, że w XVIII w. trzymałaby prym jako salonowa wirtuozka. Nic dziwnego, że osoba obdarzona podobnemi przymiotami zdołała sobie pozyskać licznych przyjaciół. Wszyscy dobijali się o jej znajomość i zaszczyt bywania w jej salonach.

Gambetta spędzał z nią na rozmowie całe wieczory, Wiktor Hugo całował jej rączkę, ministrowie zaszczycali swoją obecnością oficjalne jej przyjęcia. Poczęto ją uważać jako władczynię w państwie republikańskiem. Wiele osób starało się o jej znajomość, pragnąc przy jej wpływach dostawać znaczne posady. Dziennikarska niedyskrecja śledziła bacznie życie jej salonu, gdzie uprawiano tradycyjny humor i dowcip francuski. Niezręczni pochlebcy przezwali panią Adam kibicią trzeciej republiki. Fakt ten rozproszył najprzedniejszych bywających polityków z jej domu, który zaczął przybierać coraz jaskrawsze barwy jawności. Naczelnicy trzeciej republiki są na tym punkcie bardzo drażliwi. W każdym razie w pewnej mierze mają słuszność przeciwnicy republiki, dowodząc, że republice brakuje kobiet!

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literackie, artystyczne i naukowe.

*** Donoszą nam z Wiednia: „J. I. Kraszewski po trzydniowym pobycie w stolicy austrjackiej udał się do południowej Francji, gdzie z porady lekarzy zabawić ma dłużej.

„Grono posłów polskich dało na cześć jubilata dnia 30. z. m. wystawny bankiet w sali hotelu Müllera, gdzie Kraszewski zamieszkiwał.

„Znany nakładca Hartleben przystąpił do wydawania przekładów niemieckich wszystkich powieści nestora naszej literatury.“

*** Z listu Jana Zacharjasiewicza, pisanego niedawno do warszawskich przyjaciół za pośrednictwem obcej ręki, dowiadujemy się, iż cierpienie jego wzroku mało się dotąd zmniejszyło...

Przy spodziewanem jednak polepszeniu Zacharjasiewicz zamierza odwiedzić Warszawę, może jeszcze w ciągu tej zimy. W liście powieściopisarza znajdujemy te smutne a piękne słowa:

...„Nie piszę do was długo, bo cierpienie nie nasuwa do tego treści.

„Podobne jest ono w tem do morza, że choć wiele rzeczy w sobie mieści, da się odmalować jednem pociągnięciem pędzla...“

*** P. Aleksander Kraushar przygotował do druku monografię historyczną pod tyt.: „Olbracht Łaski, wojewoda sieradzki.“

Rzecz to oparta na źródłach archiwalnych, wyjaśniających wiele ciekawych, nieznanych dotąd szczegółów historji krajowej z XVI stulecia.

*** Projekt wydawnictwa w Warszawie specjalnego pisma, poświęconego pedagogice, jak się dowiadujemy na pewno, przychodzi do skutku.

Tym sposobem zapełnionąby została nakoniec ważna luka w naszem piśmiennictwie!

*** Dziennikarstwo czeskie wciąż obznajmia swoich czytelników z utworami naszego piśmiennictwa.

Koleda drukuje obecnie „Szkice“ Chłędowskiego, w przekładzie Leopolda Hradeckiego.

Lumir utwory Asnyka: „Nieśmiertelni“, „Z rytuału zmarłych“ i „Tym, którym smutno“ w tłómaczeniu Kvapila.

Kommensky, dziennik pedagogiczny, pomieszcza przekłady z polskiego wydawnictwa: *Ziarno*.

*** Wykopalisko nowe wzbogaciło naukę polską. Pomiędzy Nieszawą a Raciążkiem, przy gościńcu ks. Ratyński z Nieszawy natrafił na cmentarzysko pogańskie.

Leży ono na nieużytkach tamtejszej roli.

Chłop tamtejszy kopiąc dół natrafił na popielnice...

Myśląc, że są w nich skarby zaczął je rozbijać i skorupy wyrzucać.

Ksiądz Ratyński przejeżdżając tamtędy, spostrzegł ową gospodarkę wieśniaka.

Zeskoczył więc z bryczki i wstrzymał poszukiwanie wrzekomego archeologa, zastępując go swoją osobą.

Rezultatem tej zmiany jest kilka popielnic ze spalonemi kośćmi i popiołem.

Zabytki te są grube, z gliny ziarnistej.

Znalazca przysłał ich część do redakcji *Przeglądu bibljograficzno-archeologicznego.*

Jak słyszymy, p. F. K. Martynowski przygotowuje nad niemi studjum, celem zamieszczenia go w którem z pism warszawskich.

*** W dalszym ciągu artystycznej swej podróży po Galicji i Rumunji, Józef Wieniawski, bardzo gorąco jest przyjmowany.

Wieniawski grał w Krakowie, Tarnowie, Przemyślu, Lwowie, Tarnopolu, Stanisławowie, Czerniowcach.

Po kilku jeszcze koncertach w Rumunji wraca pianista ten do Warszawy, zkąd podąży na zapowiedziany koncert w Hamburgu.

Wieniawski projektuje jeszcze podróż po Danji, Szwecji i Norwegji.

*** „Atheneum“ angielskie podaje, iż w Marburgu 1655 roku na wydziale protestancko-teologicznym z exegezy pisma świętego, naznaczono do rozwiązania następujące trzy tematy:

a) Gdy osioł Balaama przemówił, jaka zaszła zmiana w organach jego wewnętrznych?

b) W jakim języku pozozumiewać się będzie rodzina Noego na sądzie ostatecznym?

c) Czy Łazarz, rozszafowawszy majątkiem przed śmiercią, mógł cofnąć zapisy po zmartwychwstaniu?

*** Kosmos, czasopismo polskiego Towarzystwa przyrodników, w zeszycie XII z r. 1880 zawiera: 1. Fizyka we współczesnej Francji, studjum Zygmuta Wróblewskiego. 2. Roślinność letnia i jesienna okolic Bilcza i Cygan, podał Bronisław Błocki. 3. Kronika naukowa przez R. Zukera i L. Hodolego. 4. Wiadomości bieżące.

Społeczne i ekonomiczne.

*** W sprawie porównania kobiet z mężczyznami prof. Bischof podaje następujące cyfry:

Mózg mężczyzny waży 1,362 gramy (w przecięciu) kobiecy 1,219, czyli średnia przewyżka na korzyść brzydkiej połowy rodzaju ludzkiego wynosi 143 gramy, czyli 10,50.

Rezultat pomieniony osiągnięto po zważeniu 906 mózgów.

„L'avenir des femmes“ w odpowiedzi na to przywodzi, że mózg słonia cięższym jest jeszcze od mózgu mężczyzny.

*** W paryskim szpitalu Bicêtre zmarł w tych dniach niejaki Jubissier, obłąkany, przeżywszy lat 103. Jubissier, znany pod nazwiskiem „człowieka szklannego“ umieszczony w szpitalu dla obłąkanych w roku 1797 i od tego czasu nie opuścił on zakładu. Jubissier wyobraził sobie, iż jest ze szkła, i z obawy, aby się nie stłuc, nie poruszał się i pozostawał milczący. Przez lat 83 nie wyrzekł on ani słowa.

*** Dla osób wybierających się do Londynu, w którym, oprócz wielu niezliczonych osobliwości godnych widzenia, bez zaprzeczenia jedno z najpierwszych miejsc zajmuje „British Museum“, nieobojętną powinna być wiadomość, iż asystentem dyrektora tegoż muzeum jest Warszawiak, p. Jan Nacke, który chętnie przybyszom z kraju daje wszelkie objaśnienia.

*** Amerykańskie towarzystwa telegrafów i telefonów zaprowadziły po większych miastach osobliwszą gałęź przemysłu.

Podejmują się mianowicie za pewną miesięczną opłatą... *budzić* służące w domach prywatnych i podróżnych w hotelach.

W pokoju nieszczęśliwej ofiary telefonowej wisi bardzo silny przyrząd do dzwonienia, który w oznaczonej godzinie ze strasznym łoskotem wybucha, najzawziętszego spiocha przywraca do przytomności i tak długo szaleje, dopóki męczennik lub męczennica nie wstanie i tej awanturze końca nie położy!

*** W ostatnich czasach dokonać miano kilku zdumiewających wynalazków...

W pismach zagranicznych spotykamy wiadomość o wynalazku kopjowania obrazów, któryby dokonał przewrotu w malarstwie, jakoteż o nowym sposobie fabrykacji koronek za pomocą maszyn.

Bardziej od powyższych uformowanym wynalazkiem zdaje się być.. wirującą szczotka!

Z rzeczy tej odbyć miano kilka dni temu w Londynie ostatnią próbę, która dała najdoskonalszy rezultat.

Szczotka ta, do czyszczenia koni, za pomocą pary lub innego motoru, wprowadzoną zostaje w ruch wirowy i spełnia zadanie swoje o wiele dokładniej i szybciej, niż najlepsze z dotąd używanych tego rodzaju narzędzi.

Konie z nową szczotką oswajają się podobno z łatwością.

Przyrząd ten naturalnie w wielkich tylko stajniach może znaleść zastosowanie.

Z Drukarni „Gazety Narodowej“ pod zarządem A. Skerla. Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.